

Śliczna dziewczyna

Była to rzeczywiście śliczna dziewczyna. Ludzie przychodzący do tego parku — nawet tacy, którzy czynili to od wielu lat — nie pamiętali, aby zjawiała się tutaj kiedykolwiek choć jedna taka, która mogłaby stanąć koło niej. Ta dziewczyna podrywała wiarę w materialność świata; przechodzący obok ławki, na której siedziała, doznawali wrażenia, iż przeszli pięć kroków w innym świecie. Nawet staruszek, od lat łączący tędy z laską zakończoną szpikulcem, otworzył usta i siedł tak aż do końca alejki. A staruszek ten wiele widział, wiele mógłby powiedzieć o majowych nocach, kiedy — dusząc się ze złośliwej satysfakcji — wypłaszał stąd ubogich kochanków.

Dziewczyna siedziała na ławce z chłopcem. Chłopiec nie mógł mieć więcej lat od niej — to znaczy dziewiętnaście lub dwadzieścia. Był także ładny, lecz ona gasiła go każdym, nawet najbardziej nieznacznym ruchem lub spojrzeniem. Ta dziewczyna miała w sobie kawał słońca — tak myśleli przechodzący tędy. W pewnym momencie rzekła:

— Późno już. Muszę iść.

— Jak chcesz — powiedział chłopiec. — Mnie tutaj dobrze.

— Zrobisz to, o co cię proszę, czy nie?

— Już ci powiedziałem.

— Będziesz żałował.

— To moja sprawa — powiedział chłopak. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów: przytknął w denko, wyciągnął jednego i zapalił. Potem schował paczkę z powrotem.

— Ja też palę — rzekła dziewczyna.

— To bardzo niedobrze. Nikotyna szkodzi na zdrowie. Poza tym człowiek brzydnie.

Popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek. Oczy miała brązowe, ciemne: migotała w nich miodowa gwiazdka. Chciała coś powiedzieć, lecz przechodził koło nich jakiś mężczyzna w granatowym kiepskim garniturze.

Był to nieznaczný urzędnik: nie osiągnął w życiu niczego, gdyż brakło mu i talentu, i wytrwałości. Jak każdy tego rodzaju człowiek uważał się jednak za skrzywdzonego i niezrozumianego. Popatrzył na śliczną dziewczynę i pomyślał: "Mój Boże! Gdybym ja miał taką! Może by to wszystko zaczęło być inne? Taka kobieta może odmienić wszystko; może dla niej wziąłbym się jeszcze za coś? A tak — złamane życie. Ech, cholera! Muszę iść do kina. Człowiek zaczyna się rozklejać..." Posmutniał i przyśpieszył kroku.

Skoro tylko przeszedł, dziewczyna zapytała chłopca:

— Dasz czy nie?

— Nie lubię się powtarzać — odparł.

Patrzyła na niego swymi ciemnymi oczyma i rzekła cicho:

— Ty skurwysynu.

Roześmiał się. Kopnął czubkiem buta kamyk leżący na ścieżce i powiedział bardzo cichym, melodyjnym głosem:

— Popelniasz małą omyłkę: nie jestem twoim dzieckiem.

— Gdybyś był moim dzieckiem — rzekła — wiedziałabym, co z tobą zrobić.

Spojrzał na nią z ukosa i odparł:

— Dlaczego więc radzisz się mnie, co zrobić ze swoim?

— Jest także i twoje.

— Ty bardzo pięknie mówisz — rzekł — i na pewno bardzo wzruszająco. Ale ja nie byłem wtedy sam. Był i Mietek, i Roman, i jeszcze paru innych. Dlaczego przychodzisz do mnie po forszę? Czy ja jestem świętym Mikołajem?

— Ja z tamtymi nic nie miałam.

— Wychodziłaś z nimi na dwór.

— Po to, żeby odetchnąć i przejść się kawałek. Była wtedy taka piękna noc...

— Ach tak — powiedział obojętnie. Zgasił papierosa i oparłszy ramiona o poręcz ławki, przeciągnął się. Patrzył chwilę na wygasające niebo, potem rzekł: — Przykro mi, ale ja już dawno przestałem wierzyć w cuda. Jeszcze nie słyszałem, aby dziewczyna szła w nocy nad rzekę z mężczyzną li tylko po to, aby popatrzeć na księżyc. Zwykle księżyc w takim wypadku kapuje na nich.

Dziewczyna uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. Milczała; w rękę miazdżyła małą gałązkę. Ręce miała takie, jakie miewają Madonny na starych obrazach: długie, szczupłe nerwowe, żyjące własnym, pięknym życiem. Człowiek, który w tej chwili przechodził koło nich, spojrzał na nią, potem na jej ręce i zaparło mu dech. Był on młodym pisarzem i marzył o napisaniu wielkiej, miłosnej powieści, na którą tak bezustannie i boleśnie oczekują ludzie. W tej chwili — z przerażającą jasnością — ujrzał całość; od wielu miesięcy już trzepotały mu się po głowie sceny, dialogi, twarze, lecz dopiero w tej chwili ujrzał swoje dzieło jako myśl skończoną. "Już mam — kombinował gorączkowo. — Teraz już mam. Oni spotkali się przypadkowo na ławce w tym parku. Zawija się romans, pierwsza miłosna noc... Traktują to wszystko cynicznie, sportowo, gdyż tak sobie postanawiają, aby uniknąć komplikacji i rozczarowań. Lecz z czasem — przychodzi miłość. Wielka, obywatelska, rzucająca na kolana. Ale oni nie mogą w to uwierzyć; dręczy ich cyniczny początek. Lecz w końcu

rozumieją; pozostaną już razem, na zawsze złączeni uczuciem. To będzie rzecz pełna gniewu!..." Uradowany pogalopował do domu.

Dziewczyna powiedziała do chłopaka:

— Dobrze. Jak chcesz. Ale ja cię załatwię. Inni też dowiedzą się o naszej słodkiej tajemnicy. Wylecisz na zbity łeb. Zapomnisz, że chciałeś zostać inżynierem, mój drogi. Już ja ci pomogę.

Nie drgnąwszy odparł:

— Miła, zaczynasz być śmieszna, a to źle. Ja osobiście niczego w życiu nie boję się tak jak śmieszności.

— Mimo to będziesz śmieszny.

— Niezupełnie. Ja także mogę ci przypomnieć o pewnych faktach. Na przykład taki: jest noc, pewien chłopak będący w wojsku myśli o swej dziewczynie i marzy o chwili, kiedy będą razem. Pełni oczywiście wartę... Ładne, prawda? Tymczasem... — Zbliżył ku niej twarz i powiedział twardo: — Tymczasem dziewczyna bawi się w "Kameralnej" z dwoma podtatusiałymi facetami, którzy mają jeszcze sklepiki na ulicy Chmielnej i sflaczały nogi. Ta dziewczyna jedzie potem do jednego z nich, a jest zupełnie zalana. I potem ta dziewczyna barłoczy się z tymi facetami do rana. Rano oczywiście opowiada im wzruszającą historyjkę o tym, że jej ojciec siedzi niewinnie w więzieniu i że ona z matką cierpią głód. Potem pożyczka od jednego z nich pięćset złotych i kupuje sobie dwie pary nylonów. Życiowe, co?

— Tak sobie. Znam bardziej ciekawe bajeczki. Słyszałam historię o takim młodym chłopaku, który sfałszował pewne dane w ankietach, aby dostać się na studia, i wygłaszał wzruszające rzeczy do czasu, kiedy było mu to potrzebne. Nauczył się nawet mówić gwara podwarszawską, gdyż utrzymywał, iż jest autentycznym proletariuszem. Tymczasem tatunio przysyłał mu paczki z Nowego Jorku, tak że chłopak był nawet nieźle ubrany, gdyż tatunio umiał i tam robić ciekawe interesy. Tatunio, ten bezrobotny tokarz z ankiety. Jak myślisz: interesujące?

— Dam ci połowę — rzekł. — O resztę postaraj się sama.

— Nie, miły — rzekła. — Dasz wszystko albo...

— Albo co? — przerwał, brutalnie ścisnąwszy jej rękę.

— Nic. Nie będę się powtarzać. Nie chcę być śmieszna. Ja także niczego nie boję się tak jak śmieszności.

— Dobrze - rzekł twardo. Popatrzył na nią ciężko; uśmiechnęła się szyderczo. — Dam ci forszę za dwa tygodnie — powiedział.

— Wcześniej. To już i tak za późno.

— Trzeba było uważać, psiakrew!

— Komu ty to mówisz?

— Nie na wszystko trzeba się zgadzać, ty...

— Ciszej — syknęła.

Obok nich przechodziła para staruszków; byli siwi i zgarbieni. Przeżyli z sobą już wiele lat: byli wierzący i uważali, iż każdy dzień na tej ziemi darowany im jest od Boga. Dziękowali mu za to. Staruszka spojrzała na dziewczynę i rozplakała się nagle.

— Co ci jest? — zapytał mąż.

— Dlaczego Bóg nam nie dał takich pięknych dzieci? — rzekła. — Dlaczego nam nie dał takich dzieci?

Staruszek uściskał jej pomarszczoną i wiotką dłoń.

— Kochaliśmy się — rzekł. — Było nam dobrze. Bóg nam przebaczy, że nie zostawiamy nikogo. To przecież nie z naszej winy.

— Tak — powiedziała z trudem. Otarła łzy i westchnęła: — Jednak byłoby o wiele lepiej...

Zgarbieni odeszli w zielone alejki. Chłopak rzekł:

— Ja ci to zorganizuję. — Chwilę milczał, potem dodał: — Poczekam aż wyjdiesz za mąż.

— To co wtedy?

— Będiesz miała dzieci, dom, męża.

— To co wtedy?

— Nic. Zajdę czasem do was, poznasz nas ze swoim mężem... Pogada się czasami o starych dziejach.

— Więc w przyszłym tygodniu?

— Tak.

— Dobrze — rzekła. Podniosła swoją wspaniałą twarz do góry i na chwilę rozświetliło ją zachodzące słońce; każdy jej włos, każdy kawałek skóry, jej oczy, usta, ramiona, wszystko było przesiąknięte słońcem i pełne słońca. Patrzyła na zielone kopuły drzew, potem rzekła cicho: — Długo będziesz czekał.

— Na miłość długo się czeka.

— Ach, tak — szepnęła.

Nie rzekła już ani słowa; na twarzy jej gasła zorza, gdyż słońce uciekało za drzewa. W ostatnich jego promieniach ujrzało dziewczynę dwóch mężczyzn spieszących z pracy do

domu. Obaj byli starszymi ludźmi; mieli poorane twarze i siwe włosy na skroniach. Jeden z nich, niższy, spojrział na dziewczynę i na twarzy jego odmalował się ból.

— Co ci jest? — zapytał wyższy.

— głupstwo — rzekł niższy starając się uśmiechnąć. Przesunął ręką po czole ruchem człowieka bardzo zmęczonego i powtórzył: — Głupstwo. Wiem dobrze, że nie powinienem mieć smutnej gęby. Ale nie masz pojęcia, tak czasem trudno się cieszyć.

— Kiedy siedziałem przed wojną swoją dziesiątkę — powiedział niższy — to marzyłem, że jak skończy się walka, tak będą właśnie wyglądać nasze dziewczyny. Kiedy mnie wpakowali do pudła, byłem jeszcze bardzo młody, taki chyba jak ten chłopak, który z nią siedzi. Byłem naiwniakiem i w taki mniej więcej sposób wyobrażałem sobie komunizm. Dopiero jak mi zatańczyli po zebrach, moja wizja się nieco zmieniła.

— Więc dlaczego masz smutną gębę?

— Czasem jednak ciężko pomyśleć, że nigdy się nie miało takiej dziewczyny.

— Głupstwo — rzekł drugi. Dał sójkę w bok niższemu i powiedział: — Czy to w końcu ważne? Najważniejsze, że one są, że są takie piękne, że kochają swoich chłopaków i że są kochane.

1955